

Przykład ludowości

poetyckiej

Julian Przyboś

I

Nie należy sobie przedstawiać osoby autora według tego obrazu, jaki się rysuje w naszej czytelniczej wyobraźni. Ten, co pisze nie bywa podobny do tego, którego sobie czytając wyobrażamy — ostrzegają pionierzy dyscypliny, jeszcze nie istniejącej czy nie nazwanej, a zapewne „pogranicznej“, bliskiej charakterologii, psychologii twórczości i fizjognomiki.

Ala ja mam co do tego inne zdanie, własną teoryjkę: autor (wyobrażony przez czytelnika) godzi się doskonale z tym, co jest istotne w wyglądzie i w charakterze piszącego człowieka, ale to istotne nie jest zazwyczaj na pierwszy rzut oka widoczne. Choć nie skryte, nie objawia się we wszystkich szczegółach zachowania się i tzw. powierzchowności czy (jak to zowią, kiedy mowa o aktorach) „warunkach zewnętrznych“, ale w czymś, choćby tylko jednym, znamionym. Zazwyczaj w sposobie mówienia, w intonacji, w geście, w chodzie... tyczy się to zwłaszcza poetów, dla któ-

rych ton głosu, rytm i zmysł ruchowo-mięśniowy jest szczególnie znamienny.

W niezapomnianym lecie i jesieni lubelskiej 1944 roku wraziło mi się w oczy tyle niezwykłych postaci, że niejedna z nich bije się w mojej pamięci wzrokowej o pierwszeństwo. Nigdy jednak, gdy przypominam tamte czasy, nie mam wątpliwości, że na pierwszym planie pojawi się rumiany jak piwonie partyzant, o bujnej plówce grzywie nad czołem, przyjacielski, dionizyjski, wesoly. Tryskał zdrowiem, zamaszysty, triumfujący — przedarł się ze swoim oddziałem i zdobyczą przez linie niemieckie z Gór Świętokrzyskich — i oto w pierwszej, wojennej stolicy Polski wznosił wraz z nami wszystkimi — i tymi w mundurze przy pistolecie i piórze (oj, rym, ale w sam raz: w wojsku pisorymy górowali nad prozaikami) i cywilnymi gryzi-piórkami bez broni — Toast! Toast na cześć zwycięstwa.

Wielki blask Nike rozjaśniał nas wszystkich. Jeślibym miał wskazać wiersz, który wtedy najgłośniej brzmiał w radosnym szumie powie-

trza tamtych czasów i który najlepiej wyrażał smak wolności pitej po raz pierwszy po latach okupacji — wymienilibym Toast Jerzego Putramenta, drukowany bodajże w pierwszym numerze *Odrodzenia*.

Wojna jeszcze trwała, ale zwycięstwo było już pewne. Wszyscy święcili tę pewność, wiwatując na cześć władzy ludowej i Odrodzonej Polski. Ale z fantazją prawdziwie kawalerską wznosił toast rumiany partyzant z Kielecczyny. Nie domyślałem się wówczas, że to nie tylko wojak, ale i poeta. Kiedy w roku następnym doszedł do moich rąk pierwszy jego tomik, otwierałem ten jego *Oberek świętokrzyski*, jakbym się wybierał na wesele chłopskie. On, Józef Ozga Michalski wydał mi się wtedy już z samego wyglądu i zamaszystego trybu życia wzorem partyzanta i takim z tamtych czasów w mojej pamięci pozostał. Czy tak nieodparcie autentyczny, wspaniale ludowy wojak okaże się równie autentycznym poetą ludowym? — pytałem. I nie zawiodłem się.

Nie chcę przez to powiedzieć, że obdarzył mnie samymi wspaniało-

ściami, ale znalazłem w tym zbiorze wierszy o wsi po raz pierwszy od lat — poetę wiejskiego, chcę rzec: zakorzenionego całym swoim życiem, nie tylko dzieciństwem, w bycie chłopskim, rolniczym; znalazłem to, czego u współczesnych poetów układających wiersze o wsi nie spotkałem jeszcze.

II

Przyszli sumienni historycy poezji wyróżnią zapewne w ostatnim półwieczu to, co tymczasem spróbujmy nazwać wiejskością w poezji. Bodajże Stanisław Czernik zauważył to i uwydatnił, że dopiero w tzw. dwudziestoleciu międzywojennym weszli do literatury pisarze-chłopi nie pojedynczo, po dwóch, trzech, jak to bywało przedtem, ale szeroką lawą. Poezja polska zawsze dobrze się czuła na wsi, ale tej widzianej z okna dworu. Pisarzy urodzonych na wsi było co niemiara, ale tych żyjących życiem chłopskim od dzieciństwa i pracujących (dziecko chłopskie pracuje) — niewiele. Z chaty wiejskiej, po Kasprowiczu i Orkanie czasu Młodej Polski, spora gromadka poetów wyszła dopiero w owym dwudziestoleciu.

To ważne. Do wrażeń, jakie wnieśli poeci żyjący w mieście i oglądający wieś i chłopa okiem wakacyjnego letnika lub wycieczkowicza, dorzucili ci poeci-chłopi doświadczenie dzieciom pańskim i mieszczańskim nie znane.

Stanisław Czernik usiłował nawet z tej swojej i swoich przyjaciół poetyckich wiejskości wywieść nową poezję, nazywał to, czego szukał, autentycznością czy autentyzmem. Nie otrząsnął się jednak z zauroczenia, z mitu „chaty”, optymistyczna pamięć ozłociła mu, jak i wielu innym bosym w dzieciństwie pastuszkom, co potem wieś opuścili, biedę i ciężką dolę chłopską. Sam dobrze poznałem w dzie-

ciństwie trudne życie i pracę na wsi — ale nie dziwię się tym „autentystom” i innym, mnogim w poezji między wojnami lirykom pochodzenia chłopskiego. Żyjąc w mieście, zapominali w wierszach o wsi prawdziwej; a wspomnienia dzieciństwa w miarę lat — różniewiały. Pisywali więc liryki nie podobne do pieśni ludowej i do tego, co chłop miał za poezję: przeważnie były to nastroje i sielankowe obrazki.

Folklor, pieśń ludowa... Chyba nie było od czasów Mickiewicza znacniejszego poety, który by się na pieśń i baśń ludową nie powoływał i z nich, z pieśni i z klechdy nie czerpał. Czy popelniał zbyt wielki błąd, jeśli tak generalnie stwierdzą: natchnienie, jakie niosła twórczość ludowa, spożytkowywali poeci naśladowując raczej jej zewnętrzny wygląd, a nie jej wnętrze, jej estetykę, a nie etykę. Stylizowali, przejmowali i przekształcali motywy, opracowywali tematy, naśladowali miary wierszowe, udawali naiwność, prostotę pieśni, a fantastykę baśni. Ale między poezją (pieśnią) a prozą (baśnią) ludową różnica jak między ziemią i niebem. Pieśń jest ziemska, realistyczna, proza (baśń) fantastyczna:

Pojechali za lasy i tam darli z niej pasy

powiada pieśń o pani, co zabiła pana i brzmi to tak mocno i groźnie, że tylko arcymistrz mógł swoją sztuką tej prostej mocy sprostać nie naśladowując i nie przeinaczając tych wierszy, lecz od siebie to samo po swojemu mówiąc.

Ale poeci, nawet wybitni, kiedy czerpali natchnienie z pieśni i klechdy wieśniaczej, nie osiągnęli tej miary. Ani Konopnicka, ani Kasprowicz, ani Rydel nie stworzyli, zawodząc na nutę ludową, rzeczy tak nienaśladowczej, a ludowej nie tylko z istoty fantazji, ale i z mądrości ludowej, jak *Lilie* i *Część II*

Dziadów. A cóż dopiero poeci pomniejsi. Ci zazwyczaj stroili swoje luteńki na ton słodko lub gorzko sentymentalny, sprzeczny z chłopską uczuciowością i z ludowym widzeniem spraw świata.

Jakże trudno o tę samoistność, autentyczność, prawdziwość ludową w poezji. Trudno, zapewne także dlatego, że pojęcie tego, co krytycy zowią „ludowością” w poezji, nie jest dość jasne. W tym co lud śpiewał i opowiadał (mówię w czasie przeszłym, bo pieśń i baśń na dzisiejszej wsi cichnie i zamiera), znaleźć można rzeczy wysokiej wartości, ale i utwórki nijakie, zle, bez wartości. I takich opowieści i pieśni ludowych, nie mających znaczenia artystycznego, jest ogromna większość. Poetae minores nie umieli odróżnić co cenne w folklorze od tego, co wtórne, przejęte od dworu, nieludowe.

III

Surowa prostota, realizm — ale i ogólność, uniwersalizm motywów i tematów pieśni; szorstka czułość — ale i rubaszny humor, szczególna zgrzebność, autentyczność — ale i fantastyka, obrzędowa dostojność i ceremonialność ale i rozpasana hulaszczość; wszystkie te przeciwieństwa mieszczą się w śpiewanej i opowiadanej literaturze ludowej, w pieśni i baśni chłopskiej. Jest w czym szukać i wybierać. Za przykładem Mickiewicza poeci najczęściej zwracali się do baśni, podań i legend opowiadanych na wsi. Najrzadsi tylko umieli dostrzec prostotę ludową i jej duchem napęlić własną sztukę. Jakże często za prostotę bierze się banalność lub wdziwienie się, infantylną minodeirię! Najpóźniej chyba przejawiał się w naszej poezji humor ludowy. Może się mylę, ale nie dostrzegam przed okresem tzw. dwudziestolecia

DOKOŃCZENIE NA STR. 8

Przykład ludowości

poetyckiej

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

mędzywojennego poety, który by swój liryzm przepełnił humorem ludowym. Dopiero Staff *W ścieżkach polnych* i Leśmian w swoich balladach. Ale i jeden i drugi — stylizowali, toteż nie sposób dzisiaj czytać wiejskich wierszy Staffa jako rzeczy żywych i prawdziwych. Wielki Leśmian sięgnął głębiej: jego ballady humorystyczne są wprawdzie mało zgrzebne, są ozdobne i w wierszowaniu wyszukane, ale bliższe temu, czego niedościgny wzór dał Mickiewicz.

Dotykam tu spraw i faktów, o których by można mówić wiele, ale nie ich rozwijanie jest moim celem. Szukam we współczesnej poezji żywej, autentycznej ludowości. Pieśń ludowa obumiera, to prawda, ale jej moc inspiracyjna chyba nie zniknie nigdy.

Tu miejsce i czas, żeby wrócić do wspomnień i powiedzieć, jak ucieszył mnie przed dwudziestu laty *Oberek świętokrzyski* Józefa Ozgi-Michalskiego. Model ludowego wojaka wydał mi się zarazem tak autentycznie wiejskim poetą, że zapamiętałem niektóre jego wiersze z tego zbioru jako wedle mnie — wzorce, przykładowe okazy poezji artystycznej wyrosłej z pieśni ludowej i chłopskiej mądrości. Nie wszystkie — to oczywiście — utwory tego tomu tak mnie cieszyły: większość tej miary wzorca ludowości nie osiąga. Ale poetę mierzy się jego szczytami, a nie nizinami. Tych w dalszej twórczości Ozgi było aż nazbyt wiele. Całe

wzruszenia i poezji wyżej od tej podniesionej do podręcznikowego kanonu *Gęsiarki* (Co nie znaczy, o czytelniku naiwny, że przenoszę Michalskiego nad Staffa!).

Jest drugi wiersz w tym zbiorze Michalskiego, który mi się spodobał prawie tak jak *Pasturka*. Są to *Narodziny cielęcia*. Michalski ożenił w nim iście chłopski humor z czymś, co nazwałbym gospodarską kontentacją. Zapowiada on długi ciąg wierszowanych utworów humorystycznych, gawęd, facecji, frazdek, jakie posypią się obficie w dalszej praktyce poetyckiej Ozgi. Cenna to i rzadka u liryka skłonność. I choć dość często wiodła ona poetę na manowce — dobrze, że jej nie opanowywał. Po długich latach poezjowania zaowocowała utworami dojrzałymi w ostatnim jego zbiorze, w *Pełni*.

IV

A oto nurzam się w kopiałej *Pełni*, ostatnim przeobfitym zbiorze Michalskiego. Przystano mi ten tom z Wydawnictwa akurat wtedy, kiedy przechadzałem się po rozległym *Ogrodzie, ale nie plewionym...* Imci Wacława z Potoka Potockiego. Kto próbował objąć — nie powiem całości dzieła Potockiego — ale choćby tak ogromniasty bróg, jak ta książka wierszy największego poety polskiego baroku, wie, że to móżół dla nieznanicy daremny i nie do zniesienia. Ja gustuję w tym najlepszym rymopisie polskim (rymował lepiej niż nasi najwięksi i bodajże tylko Słowacki mógłby mu

Taką pannę do tańca
rok temu na weselu
przyjaciel mi swatał.
Znam ją. Znam ją na wylot,
lepiej niż teolodzy.
Kto jej nie zna,
dla tego strata.
Uśmiecham się ku chwilom,
kiedy ludzie ubodzy
ten wzór cnoty
wydali dla świata.
A w cieniu święty Józef
slabowicie nogą kuśtyka
i wrótnie od stodoły,
żeby go nie zawiało,
zamyka.

Pełni Ozgi trzeba szukać w jego ostatnim zbiorze. Jest to zbiór górzący — jako całość — nad dotychczas wydanymi tomikami. Rubaszny humor ustąpił miejsca subtelniejszemu uśmiechowi, liryka miłośna, równie jak całość — nad dotychczas wydanymi tomikami. Rubaszny humor ustąpił miejsca subtelniejszemu uśmiechowi, liryka miłośna, równie jak całość — nad dotychczas wydanymi tomikami. Rubaszny humor ustąpił miejsca subtelniejszemu uśmiechowi, liryka miłośna, równie jak całość — nad dotychczas wydanymi tomikami.

*Bolą mnie liście drzew
gdy je wiatr
obojętnie zrywa.
I ty mnie bolisz
gdy z moją
zerwaną głową
chodzisz pod rękę
z innym szczęśliwa.*

Ale życiowa bujność i aktywność poety szumi w tej bani z wierszami nie tylko takimi ściszonymi głosami. Rozmach drugiej — mniej niestatecznej — młodości znać w wielu wierszach rojących się od śmiałych obrazów, a niepozobawionych głębszej myśli, jak np. w wierszu *Z nią na wysokości:*

*Nagle znalazłem się z nią
na szczycie Kaukazu
osadzony jak arka.
Stworzyłem dwa pegazy
chwyciłem lejce
aby ją dowieźć tam,
skąd przyszła na świat.
Boję się o kolor
o alos o kształt.*

zbiory — te z „okresu wypaczeń” — zalegają tę nizinę. Ale przeczytajcie np. jego *Pasturkę*, zastanówcie się, czy jest kto we współczesnej poezji polskiej, który by podejmując ten temat Michalskiemu dorównał.

PASTURKA

*Pasie dziewczyna owce
i dwa cieleta.
Czerwone, zielone manowce
zjadły jej bosc nóżeta.
Śpiewa — o śpiewa
— jak może
— jak brzoza wczoraj podcięta.
Jeżyczek w siwym otworze.*

*Otwiera niebieskie oczęta
i śpiewa — o śpiewa
dziewczyna, co pastie owce na
górze,
o tym, że rośnie kalina,
że są czerwone róże.*

*A dwa cieleta becza
do wtóru fałszywą harmonią
razem nad dolą człowieczą,
nad jałowcową ustronią.*

*Pięć białych i jedna czarna =
owce pyskami we wrzosie.
Ta jedna jest ciężarna.
Nóżeta bosc po rosie.*

Powiem jak autentysta Czernik, że ten tylko, kto pasał dzieckiem bosc krowy, mógł napisać wiersz tak prawdziwy, tak rzeczywistościowy (obrzydł mi nadużyty termin „realistyczny”) głęboko współczujący doli tych „niewolników zwierząt”, jak jakiś cudzoziemiec nazwał przed wojną pastuszków. Porównajcie tę *Pasturkę* z *Gęsiarką* Staffa. W sonecie Staffa troska o estetyczną ładność przesłania współczucie autora dla dziecka. *Gęsiarka* jest raczej obrazkiem dla obrazka, autor pieści się widokiem wijącego się szeregu gęsi kierowanych czy też kierujących ruchami dziecka. (Ten sonet znakomitego poety bywa umieszczany w podręcznikach szkolnych, ale nawet formalnie nie jest doskonały. Grzeszy śmiertelnym grzechem przeciwko eufonii: po prostu nie da się zacząć mówić. Spróbujcie to wypowiedzieć: *Z czteroletnią...*, zbitka spółgłoskowa, niemożliwa nawet w żywej prozie, brzmi jak strzyknięcie śliną przez zęby). *Pasturkę* Ozgi stawiam o niebo prawdziwego

rytmami nie zostać dłużnym), ale czytać go może tylko na wrywki i z odsapką. Rzuciłem się więc na *Pełnię* Ozgi z nadzieją, że satysfakcję będę miał inną, mniej trudną, czytelniczym zasłużoną.

I oto ten zbieg okoliczności — olśnił mnie jak oczwiste objawienie. Przecie to duchy pokrewne: pan Potocki z Potoka i Ozga Michalski z Kieleckiego! Obaj najszerszi ludzie wsi: szlachcic panujący na niewielu duszach pańszczyźnianych w dawnej Polsce i chłop w Polsce Ludowej — też równy wojewodzie. Pewnie, że daleko Ozdze do tego barokowego nadmiaru i płodności pisarskiej wręcz monstrualnej, ale czuje w pisaniu Michalskiego podobną wiejską rdzenność i naturalność, co u autora *Moralioów*. Krzyżanowski powiada o tym podczaszym krakowskim, że czego się piórem tknął, przekształcał w dotykana rzeczywistość. Był, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, we wszystkim co pisał dosadnie autentyczny. Realista, humorysta, facecjonista i moralista, doskonale zwierciadło życia szlachty siedzącej po dworach na Podkarpaciu.

Zachowawszy należne proporcje — wielki poeta baroku jest nieporównany — jeśli bym miał z kim w przeszłości spokrewnić naszego poetę wsi, to z Potockim. Taka sama wydała mi się u Ozgi potoczność, naturalność relacji, język żywy, mówiony. Podobnie jak Potocki, mieści Michalski w swoich książkach jak w brogu wszystko, co mu w życiu dojrzało. Tomiki Ozgi — słabsze czy lepsze — są właściwie poetyckimi raptularzami, epicko-lirycznymi sprawozdaniami z podróży po obcych krajach, z wydarzeń politycznych, moraliami i facecjami. Czytam oto w tomie wydanym w 1959 roku taką znakomitą, pełną figlarnego humoru notatkę z podróży i uśmiecham się, jakbym słyszał którąś z wybornych frazsek Potockiego: to *Wystawa w pałacu dożów*.

*Obrazy pana Bassano,
od paru wieków nieboszczyka,
pachną jak siano,
gdy gospodarz stodołę odmyka.
Wychodzi Panna Maria,
wyspana, wypoczęta,
o tęgich, kształtnych tydach,
rumiana i pyzata.*

*Po parze moich
i jej zmysłów
wpedzam do arki
Niech od nas odpłyną
W dole
trąby słoni
skrecone w kłębki
jak jedwabnika kokony.
Orzeł reszką kopiejki
w dół się potoczył do stóp.
Drabina Jakubowa
grzebieniem w jej włosach
po którym skacze
mniejszy od pchły
olimpijski bóg.
Z tej wysokości
wojna z chorągwiami
wygląda jak pranie
chusteczek do nosa.
Słyszę
jej stopy
melodyjniejsza od skrzypiec
z jarzma medall
wyzwalającą generałów,
po baquetach idzie,
gnie najtęższe karki ze stali.*

Nie stracił Ozga w tej *Pełni* dawnej zamasytści, ale panuje nad nią lepiej.

Wszystko to sprawia, że przeczytałem tę grubą banie z poezja z satysfakcją. Oto poeta-chłop, autentysta, prawdziwek wiejski! Bierście sobie przykład z jego żywotnej chłopskości młodzi z ZMW składający wiersze! Oby to był nie ostatni, ale pierwszy, co tak prawdziwie ognistego obertasa wybija i wodzi!

*

Kolego! miły Współwieśniaku. Mija dwadzieścia lat od naszego spotkania w Lublinie. Wtenczas recytując *Toast* Putramenta spełnialiśmy drugą połowę słynnego czterowersza:

*Wina nam jeszcze podrdzą,
niejeden srebrny roztruchan;
dziś gdy dzielimy się władzą
dobra nam i siwucha.*

My poeci jesteśmy jedynowładcami. Mamy tylko taką władzę jaką, niestety, dzielić się nie można: władzę nad słowem. Święcąc jubileusz naszych pierwszych zbiorów w Polsce Ludowej, za jednym zamachem wychylam pełny roztruchan za tę Waszą *Pełnię*.

JULIAN PRZYBOS